

Nasza tajna baza została postawiona w stan najwyższej gotowości.

Odkryliśmy ją we trzech, jakieś cztery lata temu, na wiosnę. Kilka drzew, cegły poukładane w stosy udające krzesła, stary rower i śmieci walające się po okolicy. Do tego nieudana karykatura domku na drzewie – ofiara słomianego zapалу – i fragmenty jakiejś antycznej, pordzewiałej konstrukcji, nadającej tej całej kompozycji postapokaliptycznego kolorytu. W mojej ocenie była to typowa melina cudem tylko zdobyta przed desantem okolicznych złomiarzy; idealne miejsce na spędzenie dnia wagarowicza i dyskusje o najnowszych doniesieniach z frontu.

- Ale ty jesteś głupi, poważnie – Mariusz odważnie ocenił słowa Kozy, kumpla z osiedla. – Agencja towarzyska w Pawianicach? Zwariowałaś?!

Koza nie wyglądał na zadowolonego. Kiepsko znosił obelgi. Kiedy ktoś kwestionował wartość zdobywanych przezeń informacji, zaperzał się i przygotowywał ofensywę. Ta, naturalnie, polegała na wymianie niekoniecznie przepisowych ciosów. Celem ataku zwykle stawał się nos, bo jak wszyscy wiedzieli, dzięki temu można było uzyskać fajny, tryskający efekt przy stosunkowo niewielim wysiłku. Z miejsca jednak nieco usprawiedliwił tego hultaja Kozę, bo to dobry przyjaciel, a nie chcę, żeby wyszedł na durnia; Zawsze nosił ze sobą chusteczki, żeby, kiedy było już po wszystkim, poczęstować rozkwaszonego oponenta.

Tym razem działo się podobnie. Zapowiedzią draki była drgająca z równą częstotliwością powieka i fala czerwieni, zmywająca bladość Kozich policzków. Warto wiedzieć, że te barwy ostrzegawcze nie były jedynie na pokaz. Koza potrafił się nieźle bić, nie tylko z zaskoczenia, o czym mogą świadczyć częste wizyty jego przeciwników u gimnazjalnej pielęgniarki oraz siniaki, które kolekcjonował ze swadą, z jaką inni zbierali kapsle albo znaczki pocztowe.

Zdziwiłem się, bo Koza wstrzymał jednak egzekucję i łaskawie zdobył się na wyjaśnienia:

- To nie ja to mówię, Juras z trzeciej klasy mi tak mi naopowiadał... przysięgał na Matkę Boską Częstochowską, a on jest wierzący, że hej! - spojrzał wściekle na Mariusza, czekając na najmniejszą próbę podważenia jego linii obrony. - Co, kłamałby?

- Może i by nie kłamał, może po prostu sam jest cymbałem – włączyłem się do dyskusji, próbując rozładować napięcie. – Zastanów się, Koza. Mamy dwa gimnazja, spożywczak i blokowisko, a oprócz tego kiepsko jest z pracą i mało hajsu. Ojca Jerzowskiego wylali, padł zakład od produkcji rur, wszyscy stąd wieją. Więc pytam: dla kogo ten burdel? Dla mnie może? Żyjemy w świecie rozkładu... ocknij się, Koza!

Dom publiczny tak jak kino, teatr, a nawet supermarket wydawał się nam być kamieniem milowym w rozwoju każdej szanującej się miejscowości, żeby nie powiedzieć: społeczności. Z braku pozostałych, wymienionych przybytków, nie mogliśmy uwierzyć, że do piętnasto-tysięcznej dziury wprowadza się tak ogromny, niemal amerykańsko brzmiący przecież biznes.

- Powstaną nowe miejsca pracy – Uśmiechnął się Mariusz. – Z samej drugiej A uzbierałoby się kilka idealnych kandydatek. Taka Mariola to na bank chciałaby dorobić na boku...

Wyobraziłem sobie grubą Mariolkę owiniętą w szlafrok i machającą z okna do rozanielonego klienta. Taką projekcją prawdopodobnie spowodowałaby trwały uraz mojego mózgu, gdyby tylko w porę nie odezwał się całkiem opanowany już Koza:

- A nie możemy po prostu sprawdzić? Zajdziemy tam i poszpiegujemy. Najlepsze, że to podobno w starej chałupie Nowickich przy Rogowej. Wyprowadzili się i od razu takie jajca!

- Może jutro – podsunąłem. – Dziś trza odrobić lekcje, jeszcze jest to wypracowanie z polaka i zadania z matmy. Ty Koza też się doucz, to może nie wyrwiesz pały, jak zawsze.

Koza znany oraz lubiany był za swój nieprzeciętny talent matematyczny, który plasował go w kręgu najgorszych uczniów w historii szkoły. Już kolejny rok kiblował w drugiej klasie gimnazjum imienia Juliana Tuwima, za co wiecznie winą obarczał dyrektorkę; pani Zofia zdawała się nie doceniać jego domniemanego zapału do historii, z której to przeważnie miał czwórę - „solidną” czwórę, jak zwykł podkreślać Koza.

- Eee tam, uczyć się przed sprawdzianami będę przecież – odpowiedział szczerze. – Ale niech będzie, że jutro. Nie, Mario?

Mariusz uniósł swą słynną, pojedynczą brew i spojrzał na nas uważnie. Niczym antyczny filozof formował słowa, aby w końcu porwać zniecierpliwiony tłum błyskotliwą myślą.

- Jak ktoś nas tam zobaczy, to jesteśmy skończeni. Kropka. Pomyślą, że chodzimy na panny i wstyd będzie się pokazać gdziekolwiek. A ciotka spierze mnie tak, jakby jutra miało nie być.

To odważne i jakże słusznie przewidujące konsekwencje wyznanie skutecznie przygasiło zapał grupy. Wkurzony kopnąłem zardzewiałą puszkę po farbie. Mariusz miał rację i o ile przez chwilę naprawdę byliśmy już zdecydowani na śmiały manewr, to jego brak pewności siebie wyssał ze mnie wszelkie nadzieje.

Mówiąc prawdę, to właśnie Mariusz stanowił pocisk zapalający naszej trójcy; gdy on inicjował akcję, to można było być pewnym, że reszta skoczy za nim w ogień. Co innego, jeśli coś skrytykował - wtedy jakimś cudem i my klęliśmy na to ze zdwojoną siłą. Taki był ten gość, urodzony dowódca!

- To tylko podejździemy, ejże! – Koza nie dawał za wygraną. – Zakradniemy się po zmroku, zerkniemy na podwórze i w długą. Nawet nie mielibyśmy kasy, żeby cokolwiek tam „kupić”. Ludzie wiedzą, że mnie to nawet na zeszyty nie stać...

Może nie nazwałbym Kozy najbardziej rozgarniętym gościem, jakiego w życiu spotkałem, ale koleś epatował tą pozytywną aurą, którą ze skutecznością gruźlika potrafił zarazić nawet najbardziej uodpornionych na wirus "w połowie pełnego kubka" malkontentów.

- Jezu, żeby tylko nas nie przyłapali... - Mariusz znalazł się w polu działania Kozich promieni pozytywnej energii szybciej, niż się spodziewałem.

Coraz bardziej wierząc w istnienie pierwszego domu publicznego w Pawianicach, rozeszliśmy się do domów, i choć nikt z nas nie do końca wiedział, co to właściwie oznacza, to... przeczuwaliśmy nieziemskie kłopoty.

- Te, Marcyś, ty wiesz, że starego Świerszcza żona z domu pogoniła?

Ojciec Kozy, pan Andrzej, pracował w fabryce mebli nieopodal blokowiska *Zielonych Kwiatów*. Kiedy wracał wykończony po zmianie do domu, zwykł zasiadać przy stole i posilać się zbyt mocno lub zbyt słabo posoloną zupą, wyrzucając przy tym z ust wszystkie zasłyszane zza pulpitu pilarki plotki. Czasem wpadałem do Kozy po szkole na obiad, innym razem to on do mnie, tak czy owak zazwyczaj siedzieliśmy cicho, starając się nie mlaskać i trzymając nieme porozumienie, podsłuchiwalismy rozmowy dorosłych.

- Ja zawsze mówiłam, że z tym chłopem coś nie do końca dobrze będzie, pił tylko i kradł, czarna owca. Ale że teraz dopiero?

- No bo słuchaj – odparł ojciec. – Kłapią tymi ozorami na mieście, że on se babę inną znalazł!

Matka Kozy, pani Andzia, poczciwa kobieta, znieruchomiała jak robot pozbawiony prądu. Mycie naczyń może poczekać, wszak trzeba przetrwać soczystsze doniesienia, zdawała się sugerować mową ciała. Nowa luba dla człowieka, który dopiero co skończył sześćdziesiątkę, ciągnie za sobą woń czosnku i przejrzałej cebuli, aż w sąsiedniej wsi narzekają, a ponadto nie ma domu na własność? Jak to tak, niemożliwe!

- Nie może być... - stwierdziła zgodnie z przekonaniem. – Toż Świerszcz bez grosza przy duszy, kto by chciał takie stare próchno? Coś kręcisz!

- Nie kręcę. Pamiętasz, gdzie Nowiccy mieszkali? – ojciec przytłumił głos pomimo pewności, że młodzi dalej błądzą myślami po krainach bocianów i kapusty, a sprawy z pogranicza kryminału i erotyka kompletnie ich nie interesują – Podobno ściągają tam teraz najgorsze męty z całych Pawianic, więc i Świerszcza nie mogło zabraknąć. Zgadnij ino, dlaczego?

- Mów, mów!

- Podaj mi któryś sól, chłopaki – Ojciec Kozy udanie, acz nieco teatralnie zbudował napięcie tą krótką wstawką. Wiem, bo w bigosie znalazła się prawdopodobnie cała sól, jaką kryją kopalnie Wieliczki i nawet taki koneser musiał to zauważyć. Mama Kozy niby to niezainteresowana, ale aż musiała usiąść, tak ją nosiło!

- Dom publiczny tam zrobili, ot co – wytłumaczył jej w końcu mąż. Grzmotnął pięścią w stół, aż się korki pochowały, naładował działą kluską, przetrawił, zamłaskał i, gotowy na kontynuację słownej kampanii, wypalił. - Anielskie cycki. Tak się bodaj zowie.

Przerwał nieco zmieszany i spojrzał mi prosto w oczy.

- Yyy... - czekałem, aż ten cały pan Andrzej poprawi kolejną salwą, ale chyba wolał nie dolewać oliwy do ognia. Zamiast tego wybrał prostsze rozwiązanie. Dolał sobie zupy i rzucił luźną, ale też podszytą fałszem uwagę - A co tam w szkole, gamonie?

Cisza.

Andrzej chyba czekał, aż Koza albo ja zapytamy go, cóż to jest ten „Dom Publiczny”, lecz obaj znudzeni udawaliśmy, że nic nas ten temat dnia nie obchodzi, bo niby czemu, co ojciec Kozy odnotował z zadowoleniem, ale i lekką dozą konsternacji. Tak czy siak, niczego nie dał po sobie poznać. Jediną reakcją otoczenia był świst powietrza wciąganego w płuca przez mamę Kozy.

- O mój Boże! Żeby ci tylko do głowy...

- Kobieto, nie panikuj! Ty zawsze takie rzeczy... - odpowiedziała zmieszana głowa rodziny.

Tym razem naprawdę zatkaliśmy uszy i wyłączyliśmy uwagę zupełnie na serio. Jak nie my, podziękowaliśmy za obiad i natychmiast zwialiśmy z kuchni w obawie przed zbliżającą się nieuchronnie kłótnią. Rodzice Kozy tylko czekali na pretekst do słownego starcia, aż w końcu ten wspaniałomyślnie się pojawił.

Burdel w Pawianicach! Kobiety, chrońcie swych mężczyzn, pilnujcie synów i strzeżcie córki!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 10.08.2013 10:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.